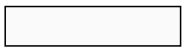


Czy Polska jest aż tak bezpieczna, że jak za czasów saskich nie potrzebujemy martwić się o sytuację międzynarodową? Czy region Europy Środkowej znalazł się w najlepszej sytuacji geopolitycznej od XVII wieku? Czy sama akcesja do NATO i Unii Europejskiej i utrzymywanie się „w głównym nurcie” tych instytucji pozwala przestać martwić się o suwerenność? Czy zajmowanie się konwencjonalnymi zagrożeniami i wyzwaniem wojskowymi jest anachronizmem w dzisiejszych czasach? Bezpieczeństwo państwa nie jest zapewnione raz na zawsze. Wymaga nieustannego monitorowania wyzwań i zagrożeń oraz nieustannego poszukiwania sposobów zapobiegania im. Dbłość o bezpieczeństwo to nie fobia – to potrzeba bycia mądrym przed szkodą.

Prezydent Bronisław Komorowski przedstawił niezwykle optymistycznie w ubiegłorocznym orędziu inauguracyjnym międzynarodowe otoczenie Polski. Podobny był ton tegorocznej informacji Ministra Spraw Zagranicznych dla Sejmu. Strategiczny Przegląd Obronny MON nie dostrzega też niebezpieczeństwa wojny w Europie, a ewentualne zagrożenia i wyzwania dla naszego bezpieczeństwa widzi dopiero w odległych regionach. Obóz rządowy przechwala się pozycją Polski. Powołując się najczęściej na opinie międzynarodowych mediów (zadowolonych z naszej małej aktywności) lub na przyjazne ośrodki analityczne utrzymuje, że Polska jest dobrze postrzegana w świecie. Jako przykłady przytacza się wyjazdy naszych polityków i wizyty innych w naszym kraju. Jako zdobycie korony Himalajów dyplomacji uznał prezydent Komorowski spotkania z Obamą i Miedwiediewem w grudniu ubiegłego roku. Niestety to **niebezpieczna iluzja**. Większość tych międzynarodowych spotkań ma charakter czysto wizerunkowy. Wiele z nich jest podporządkowanych jedynie wewnątrz-krajowemu programowi utrzymania korzystnego wizerunku partii rządzącej dla wygrania kolejnych wyborów. **Świat wokół nas nie jest klubem altruistów**. Dyplomacja nie może być zatem zakładnikiem wyborczej propagandy. Musi realizować interesy państwa na arenie międzynarodowej.

Od początku 2011 roku można było dostrzec wiele wydarzeń i trendów wskazujących, iż dla Europy Środkowej nadszedł **czas międzynarodowej dekonunktury**. Słaba kondycja gospodarcza Unii Europejskiej zapowiadała oszczędności i ograniczenia budżetowe oraz **osłabienie międzynarodowej aktywności UE**. Ze względu na wewnętrzne uwarunkowania Niemiec (wybory regionalne) oraz konieczność większego zaangażowania się w akcję ratunkową wobec Grecji nie można było spodziewać się wsparcia kanclerz Merkel dla naszych postulatów budżetowych i regionalnych, na co tak liczy polski rząd. Obecność Niemiec w Radzie Bezpieczeństwa ONZ zapowiadała też konieczność większego zainteresowania się tego państwa sprawami globalnymi, kosztem naszego regionu. Nie wydaje się również, aby Francja miała ochotę w tym roku przejawiać aktywność międzynarodową w naszym regionie. Wreszcie, należało zakładać, że administracja

amerykańska, poszukująca sukcesów międzynarodowych w trzecim roku sprawowania władzy, będzie raczej budowała front mocarstw do rozwiązywania spraw bliskowschodnich, irańskich, afgańskich i innych. Nie należało oczekiwać zatem, że zawróci z obranego już w 2009 roku kursu marginalizacji naszego regionu Europy.



Leave this field empty if you're human:

Również już w końcu 2010 roku można było dostrzec, że Rosja uznała, iż dokonała wystarczających gestów pojednania i empatii wobec Polski. Gesty te raczej poczyniła na użytek sceny międzynarodowej, aby przekonać świat, iż wszystko zostało w relacjach bilateralnych z Polską wyjaśnione. Rosjanie nie mają już żadnego interesu w dalszym „ocieplaniu” relacji z Polską, a tym bardziej wzmacniania naszej rangi w regionie i Unii. Meandry Moskwy wokół śledztwa smoleńskiego prowadzą nawet do pogorszenia relacji. Rosja wykorzystała amerykański reset dla umocnienia swojej pozycji, niewiele oferując światu w zamian. W naszym regionie, nie przyłączyła się do wysiłków na rzecz zdemokratyzowania Białorusi. Po myśli Moskwy zachodzą (raczej niekorzystne) zmiany na Ukrainie, w Kirgistanie i Mołdawii. Międzynarodowe trendy rozwijają się po myśli Rosji, w kierunku pożądanej przez Moskwę nowej architektury bezpieczeństwa – niedemokratycznego porozumienia wiodących państw, podejmujących światowe decyzje ponad głowami innych.

Sojusz Północnoatlantycki, tak jak przewidywano, od początku roku jest zajęty operacją w Afganistanie. Trwa również w przeświadczeniu, że szczyt lizboński przygotował NATO do odpowiedzi na kryzysy międzynarodowe oraz odpowiedział na wszelkie nasze dylematy bezpieczeństwa regionalnego.

Dekoniunktura Europy Środkowej powiększyła się jeszcze z chwilą wybuchu zamieszek o podłożu społeczno-ekonomicznym w krajach arabskich, a szczególnie kiedy rozpoczęła się krwawa rewolta w Libii. Południowe państwa Unii Europejskiej skoncentrowały swoją uwagę na wydarzeniach w Afryce i Bliskim Wschodzie. Już po pierwszych wypadkach wydawało się, że świat ma jasne rozeznanie sytuacji i łatwo potrafi wskazać pozytywnych i negatywnych bohaterów wydarzeń libijskich. Wydawało się też, że świat posiada odpowiednie instrumenty i doświadczenie radzenia sobie z taką sytuacją. Po licznych operacjach pokojowych, zaangażowaniu w krwawych kryzysach na Bałkanach, w Afganistanie i Iraku, takie instytucje jak ONZ, NATO czy Unia Europejska miały już w sposób rutynowy podejść do sytuacji w Libii. Przekonywano nas, że po wejściu w życie Traktatu Lizbońskiego i powstaniu

europejskiej dyplomacji oraz po przyjęciu nowej Koncepcji Strategicznej NATO obie instytucje są dobrze przystosowane do radzenia sobie z podobnymi kryzysami. Tymczasem od pierwszych dni konfliktu obserwowaliśmy niesłychanie chaotyczne zachowanie instytucji międzynarodowych wobec kryzysu libijskiego, co przeczyło składanym wcześniej deklaracjom o należyтым przygotowaniu na kryzys.

Należy zatem dokonać analizy zachowania świata i jego instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo międzynarodowe w tej kryzysowej sytuacji w kontekście ewentualnego, podobnego problemu w naszym regionie Europy. Wiele bowiem wskazuje, że region Europy Środkowej stałby się raczej przedmiotem rozgrywek innych, niż podmiotowym uczestnikiem rozwiązywania ewentualnego kryzysu.

Sparaliżowane instrumentarium ONZ

Libia przed kryzysem nie była światowym mocarstwem (2% światowej produkcji ropy), ale prowadziła wzajemnie lukratywne interesy z kilkoma mocarstwami (Rosja, Chiny) i dużymi państwami europejskimi, szczególnie w dziedzinie energetycznej, za co od lat reżim uzyskał międzynarodową legitymizację. Reżim Kaddafiego podporządkował się zachodnim standardom współpracy międzynarodowej i zapewniał względną stabilność w kraju dla zewnętrznych inwestorów. Policyjny reżim skutecznie też ryglował dostęp do Europy potencjalnym emigrantom z Czarnej Afryki. Były to istotne czynniki, które nie wywołały natychmiastowej, negatywnej reakcji świata na rewoltę w Libii. Zatem wojna domowa i masowa fala uchodźców nie wywołała reakcji światowej organizacji odpowiedzialnej za międzynarodowy spokój.

W miarę eskalacji konfliktu wewnętrznego, a nie wojny ze światem zewnętrznym, państwo to zostało najpierw objęte rutynowymi sankcjami - zakazem dostarczania broni i zamrożeniem części aktywów finansowych. Dopiero w następnych tygodniach Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła rezolucję 1973 domagającą się utworzenia nad Libią strefy zakazu lotów. Rezolucja dopuszczała również użycie broni w celu wymuszenia strefy oraz obrony ludności cywilnej. Nie zakazywała operacji sił lądowych, ale nie zezwalała też na okupację kraju. Rezolucja nie wskazywała kto miałby ją wykonać. Odwoływała się do zainteresowanych stron, aby przejęły inicjatywę. Również sposób przyjęcia rezolucji zapowiadał przyszłe problemy. Rezolucja nie została poparta przez Rosję, Chiny, Indie czy Niemcy. Kraje te wstrzymały się od głosu.

Ambiwalentny mandat spowodował natychmiastowe zamieszanie i rozbieżności interpretacyjne wśród zainteresowanych stron. Francja, główny inicjator rezolucji, poparta szybko przez USA, zaczęła głosić, iż celem operacji będzie odsunięcie Kaddafiego od władzy.

Amerykanie byli podzieleni, gdyż też pragnęliby widzieć upadek dyktatora, tylko nie przy użyciu swoich sił i środków. Liga Państw Arabskich przestraszona rozmiarem ataku z powietrza, w obawie przed ofiarami cywilnymi, szybko zanegowała sposób implementacji rezolucji ONZ przez koalicję anty-libijską. Podobne zastrzeżenia zgłosiła Rosja i Chiny.

Motywy rezolucji ONZ stały się natychmiast przedmiotem spekulacji analitycznych. Głównie podejrzewa się, iż to ambicje francuskiego prezydenta, poszukującego sukcesów międzynarodowych w swoim otoczeniu, spowodowały aktywność ONZ. Interesy gospodarcze Europy i świata aż tak nie cierpiały. Rzekoma katastrofa humanitarna miała bardzo ograniczony charakter. Nie była porównywalna

do ludzkich nieszczęść na wielu połaciach Afryki. Skąd zatem ONZ przejął się wojną domową, która ma ograniczony wpływ na sytuację międzynarodową? I jakie układy zawarto z Rosją i Chinami za poparcie francusko-brytyjskiej inicjatywy? Można pytać dalej, dlaczego ONZ i społeczność międzynarodowa nie interesują się nadal niezakończonym kryzysem w Egipcie lub trwającymi rewoltami w Jemenie czy Bahrajnie i Syrii? Szczególnie sytuacja na Bahrajnie zagraża amerykańskim interesom w Zatoce Perskiej, a poza tym prowadzi do otwartej konfrontacji Arabii Saudyjskiej z Iranem wspierającym szyicką rewoltę. Również obecna sytuacja w Syrii może destabilizująco wpłynąć na skomplikowany problem konfliktu palestyńsko-izraelskiego. Powyższe rewolty nie doczekały się rezolucji ONZ lecz jedynie potępiających użycie przemocy oświadczeń Sekretarza Generalnego.

Jeśli zatem za naszą wschodnią granicą, w niedemokratycznym państwie, wybuchnie społeczno-gospodarcza rewolta z aspiracjami demokratycznymi, to czy biorąc pod uwagę bliskość Rosji moglibyśmy liczyć na bardziej zdecydowaną i precyzyjną rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, wskazującą jak wybrnąć z takiego kryzysu? Jak dotąd, mimo kilku zrywów przeciwko despotce w Mińsku i brutalnych rozprawach z opozycją, nie można było dostrzec aby duże zachodnioeuropejskie państwo spieszyło się z nawiązaniem formalnych relacji z demokratycznymi ugrupowaniami Białorusi. Można też mieć wątpliwości czy w tak bliskim sąsiedztwie Rosji, mając tak znaczące powiązania gospodarcze z Moskwą oraz plany na zagospodarowanie politycznej przestrzeni w Europie, Niemcy i Francja podjęłyby na forum ONZ jakiegokolwiek działania sprzeczne z interesem Rosji. Nie możemy więc liczyć, iż ONZ i jej Sekretarz Generalny podjęliby jakiegokolwiek działania w przypadku poważnego kryzysu. Nawet jeśli doszłoby do takiej próby na forum Rady Bezpieczeństwa to można mieć absolutną pewność, że jakakolwiek rezolucja została by zawetowana przez Rosję. Zatem ze strony tej uniwersalnej organizacji z siedzibą w Nowym Jorku nie moglibyśmy liczyć na pomoc w przypadku kryzysu u naszych wschodnich granic. A na taką ewentualność musimy się przygotowywać znając niedemokratyczny charakter reżimu białoruskiego. Tym bardziej, iż do swojej obrony nawet na drodze militarnej białoruski reżim przygotowuje się, co

pokazały manewry wojskowe „Zapad” z jesieni 2009 roku.

Kwestia postawy Niemiec

Neutralna postawa Niemiec w Radzie Bezpieczeństwa w sprawie kryzysu libijskiego zapowiadała problemy w NATO i Unii Europejskiej. Nic dziwnego zatem, że po tygodniu trwania chaotycznej operacji w niektórych mediach europejskich określono niemieckie zachowanie jako „cios w plecy”. Tymczasem Niemcy utrzymują, że ich stanowisko jest konsekwentne od lat. Tak, jak nie poparli amerykańskiej interwencji wojskowej w Iraku w 2003 roku, tak i dzisiaj ich neutralność nie oznacza całkowitej dezaprobaty dla działań ONZ i NATO. Raczej oznaczać to ma jedynie konsekwentne trzymanie się politycznych i ekonomicznych instrumentów oddziaływania kryzysowego. Jednak inni analitycy wskazują, że niemiecka niechęć do aktywnego uczestnictwa w operacji NATO jest raczej wynikiem egoizmu, ignorancji i nacjonalistyczno-pacyfistycznego prowincjonalizmu.

Postawa Niemiec wymaga szczególnego monitoringu ze strony polskiej. To nasz największy partner gospodarczy. Dla obecnego rządu polskiego to również główny partner polityczny. To od postawy tego państwa w znacznym stopniu będzie zależało jak Unia i NATO będą rozwiązywać ewentualne kryzysy w naszym regionie. W Unii to Niemcy mają dzisiaj najwięcej do powiedzenia odnośnie do uruchomienia wszelkich środków pomocowych. Niemcy są również ważnym członkiem NATO. To oni przez wiele lat nie dopuszczali do aktualizacji (a właściwie do stworzenia) wiarygodnych planów obronnych dla państw, które stały się członkami sojuszu po 1999 roku. W przypadku konieczności zaangażowania się NATO w naszym regionie to Niemcy będą decydowały o charakterze sojuszniczej reakcji. Tam są bazy wojskowe skąd może pojawić się dla nas szybkie wsparcie. Po ochłodzeniu naszej współpracy polityczno-wojskowej z USA, rząd polski powinien mieć absolutną jasność co do niemieckiej postawy w przypadku kryzysu regionalnego.

Doraźna koalicja chętnych

Mimo wyraźnego braku jednoznacznego wskazania na regionalną organizację mogącą zrealizować rezolucję libijską, nagłą inicjatywą wykazała się Francja, która następnego dnia zwołała międzynarodowy szczyt przywódców wybranych państwa i organizacji międzynarodowych w celu wsparcia rebelii libijskiej. Szczyt poparł rezolucję ONZ i zapowiedział szybką akcję wojskową w celu jej implementacji.

Należało rozumieć zatem, że mimo kompromitowania w poprzednich latach idei amerykańskich konserwatystów – „koalicji chętnych”, Francja „odgrzała starego kotleta” kiedy takie rozwiązanie służyło jej partykularnym interesom. Powszechnie sądzi się, że

służyło wewnętrznym interesom prezydenta Sarkozy'ego i jego ugrupowaniu przed zbliżającymi się wyborami. Francja nie uruchomiła zatem w obliczu kryzysu aktywności Unii czy NATO. Wstrzymanie się z poparciem rezolucji ONZ przez Niemcy uniemożliwiało też rozpoczęcie szybkich prac w Brukseli, w którejkolwiek instytucji. Francja odwołała się do poza-instytucjonalnej koalicji ad hoc, tak jak w 2003 roku Niemcy, Wielka Brytania i Francja stworzyły nieformalny trójkąt do negocjacji z Iranem w sprawach nuklearnych. Prowizoryczna koalicja musi improwizować. Zatem od tygodni trwa deliberacja nad interpretacją mandatu działania, chaos dowodzenia i pasmo nieskoordynowanych akcji przeciwko przypadkowym celom w Libii.

Ponownie należy postawić pytania, czy w przypadku podobnego kryzysu na wschód od Polski, znalazłaby się koalicja chętnych, zdolna do walki przeciwko szalejącemu tam dyktatorowi i skłonna do przeciwstawienia się interesom „dużego państwa na wschodzie” w imię potrzeb humanitarnych? Nie wiadomo na jakich procedurach i rozwiązaniach prawnych taka inicjatywa może oprzeć swoją pracę. Jak uznaniowo podejździe do rozpatrywanej sprawy? Czy będzie się kierowała interesem własnym czy strony pokrzywdzonej?

Z polskiego punktu widzenia rozwiązywanie kryzysowych spraw międzynarodowych przez nieformalne ugrupowania państw nie powinno być preferowane, choć czasem może być pomocne. W ostatniej dekadzie Polska dwukrotnie inicjowała międzynarodowe wysiłki dla wsparcia rozwiązania regionalnych problemów. W 2004 wsparliśmy „pomarańczową rewolucję” na Ukrainie, a w 2008 roku śp. Lech Kaczyński wsparł Tbilisi w obronie przed rosyjską inwazją. Trwałość takich rozwiązań zależy jednak ostatecznie od uzyskania gwarancji mocarstw (niekorzystnego z polskiego punktu widzenia legitymizowania decyzji przez gwarancje jakiegoś koncertu mocarstw) lub włączenia się następnie międzynarodowych instytucji.

Negatywny test Unii Europejskiej

Od czasu bałkańskiej traumy, kiedy to Europa nie potrafiła poradzić sobie z konfliktem na swoim kontynencie, trwa nieustanna transformacja Unii – proces rozwijania antykryzysowego instrumentarium. Co jakiś czas Europa triumfalnie obwieszcza, że już zdołała rozwinąć kolejne zdolności zarządzania kryzysami. Wszystko to oczywiście robione jest rzekomo nie przeciwko NATO i Amerykanom. Wszystkie te wysiłki miały być prawie bezkosztowe i nie powinny dublować istniejących już rozwiązań. Od lat Unia przekonywała nas też o sprawności polityki sąsiedzkiej we wszystkich kierunkach. Wreszcie traktat lizboński, jak przekonywali euro-entuzjaści, miał stworzyć z Unii bardziej spójną instytucję w dziedzinie polityki zagranicznej i sprawną organizację kierowaną kompetentnie przez „prezydenta” i „ministra spraw zagranicznych” dla ogólnoeuropejskiego dobra.

Mimo tych zapewnień i obwieszczanych sukcesów o sprawnym systemie antykryzysowym, grupach bojowych, europejskich operacjach czy dialogu z sąsiadami na południu, kryzys w Afryce Północnej obnażył niemoc tej instytucji. Wobec wydarzeń w Tunezji i Egipcie Unia okazała się prawie bezradna. Nie przewidziała ich i nie była w stanie „zarządzać” tymi kryzysami na swoim przedpolu, mimo tak wielu lat współpracy z tym regionem. Przedstawiła jedynie kilka tradycyjnych pakietów pomocowych z arsenału „soft power”. Wobec Libii zdobyła się na przyjęcie pakietu rutynowych sankcji w obliczu krwawych wydarzeń. Mocarstwa europejskie podzieliły się następnie w Radzie Bezpieczeństwa ONZ przy przyjmowaniu rezolucji o zakazie lotów nad Libią. Powstrzymując się od głosu Niemcy potwierdziły brak wspólnej polityki zagranicznej Unii. Niechęć zaś do omawiania jakiegokolwiek europejskiej akcji wojskowej w ramach tej organizacji dobitnie dowodzi, iż dywagowanie nad jakąś wspólną polityką obronną czy europejską armią jest zajęciem jałowym. Należy mieć nadzieję, że Warszawa nie będzie się już upierała, aby jednym z priorytetów prezydencji był rozwój wspólnej polityki obronnej. Nie może być priorytetem coś do czego nie ma w Europie woli politycznej i materialnych środków realizacji.

Niestety w takiej sytuacji rodzą się jeszcze gorsze projekty, takie jak utworzenie europejskiej militarnej avant-garde, klubu państw posiadających zdolności mobilnego działania wojskowego, kierowanego przez tandem brytyjsko-francuski. Stworzenie takiej hybrydy prowadziłoby prosto do akceptacji idei podzielności bezpieczeństwa w Europie. Nie powinniśmy godzić się na odwrócenie dotychczasowego procesu, jednoczenia wysiłków całej Unii Europejskiej z działaniami NATO w sytuacjach kryzysowych.

Kryzys libijski negatywnie przetestował też i ujawnił małe możliwości działania „szefowej dyplomacji” Unii. Ten urząd powinien być instytucją pierwszego reagowania i pilnej koordynacji działań europejskich, tym bardziej, że traktat lizboński wyposażył go w znaczną służbę dyplomatyczną i zaopatrzył w niemałe środki finansowe. Jednak poza niewielkim doświadczeniem międzynarodowym Lady Ashton są też inne powody słabego działania jej urzędu. Nie ma chyba ona wystarczającego wsparcia ze strony ministrów spraw zagranicznych wiodących państw europejskich. Ich wiarygodność jest poważnie osłabiona we własnych krajach. Wydaje się, że obecnie więcej atrybutów realnej władzy w dyplomacji posiadają głowy państw i szefowie rządów niż ministrowie spraw zagranicznych. Traktat lizboński nie wyrównał tej politycznej przepaści między możliwościami szefów państw a nowym stanowiskiem zajmowanym przez Ashton. Nie wydaje się, aby można było tę sytuację zmienić na drodze korekty traktatu. Należy natomiast pilnie wzmocnić wymianę analiz i ocen między dyplomacjami państw członkowskich a Europejską Służbą Działań Zewnętrznych oraz prowadzić więcej ćwiczeń i symulacji prewencyjnych, tak aby ewentualne kryzysy jak najmniej zaskakiwały Europę.

Dla Polski płyną z powyższego gorzkie wnioski. Unia Europejska nie jest klubem idealistycznych dobroczyńców i przy poważnych kryzysach jest oczywiste, że duże państwa będą kierować się bardziej interesem narodowym niż wspólnotowym. Jednak **Warszawa w przypadku takich kryzysów na skraju Europy nie może zajmować biernej postawy**. Tym bardziej, że za chwilę będziemy sprawować prezydencję unijną. Powinniśmy z jednej strony zabiegać o powstanie solidarnego stanowiska Unii i jednocześnie baczyć czy nasze interesy nie są zagrożone. Możemy wspierać wysiłki na rzecz stworzenia pakietów pomocowych dla Afryki Północnej, ale powinniśmy strzec, aby nie odbywało się to kosztem zmniejszenia finansowania polityki wschodniej Unii. A proces taki już został uruchomiony w lutym br., kiedy to grupa państw południowej Europy zażądała przesunięcia środków finansowych z polityki wschodniej na pakiety pomocowe dla Afryki i Bliskiego Wschodu.

Powinniśmy też stanowczo domagać się tworzenia jednolitych zasad polityki sąsiedztwa, uwarunkowania dostarczanej pomocy europejskiej od postępów demokratyzacji w krajach sąsiedzkich. Nie powinniśmy akceptować różnych standardów, odmiennych dla kandydatów do członkostwa w Unii ze wschodu Europy i tych z poza Europy. Przede wszystkim powinniśmy jednak posiadać aktywa na południu, aby mieć możliwość skutecznego zabiegania o realizację priorytetów na wschodzie. Tymi aktywami nie musi być eskadra samolotów F-16 na Morzu Śródziemnym czy flotyła naszych okrętów. W tym kontekście warto przypomnieć, że jeszcze niedawno kilkuset naszych żołnierzy brało udział w operacjach pokojowych ONZ w Libanie i na Wzgórzach Golan na pograniczu syryjsko-izraelskim. Szkoda, że Polska wycofała się z tych operacji, finansowanych przez ONZ.

Takimi aktywami powinna być nasza rozwinięta, czynna polityka na Bliskim Wschodzie i Afryce Północnej. Rozwinięte relacje gospodarcze oraz pełna inwencji dyplomacja promująca na przykład sukcesy środkowoeuropejskiej transformacji. Doświadczenia współpracy i wysoka wiedza ekspercka jest równie cenna w czasie dyskusji brukselskich nad problemami państw arabskich jak wkład wojskowy. Nie wysyłając jednostek bojowych moglibyśmy jednak wysłać na granice libijskie (szczególnie po egipskiej stronie) logistyków i żandarmów wojskowych dla wsparcia organizacji humanitarnych w obozach uchodźców. Byłby to widoczny znak zaangażowania i polityczny instrument do utrzymania naszej aktywności w polityce europejskiej wobec kryzysu arabskiego. Tego typu działania były od lat specjalnością polską w operacjach pokojowych, ostatnio w Kongo i Czadzie.

Reakcja NATO

Wydaje się, że jeszcze większą bezradnością, biorąc pod uwagę zdolności wojskowe, a nawet niechęcią do zajmowania stanowiska w sprawie kryzysu arabskiego wykazał się Sojusz Północnoatlantycki. Przez lata alians szczylił się, że jest jedynym tak sprawnym i

zorganizowanym sojuszem w nowożytnej historii świata. Podkreślaliśmy wobec świata zewnętrznego, że łączyły nas wartości, standardy demokratyczne i solidarne myślenie o wspólnym bezpieczeństwie. Od jesieni ubiegłego roku świat transatlantycki wychwalał sukcesy listopadowego szczytu lizbońskiego. Szczycono się nową Koncepcją Strategiczną NATO, która miała umożliwić sojuszowi reagowanie na wszystkie wyzwania i zagrożenia. Jeszcze kilka tygodni temu, w czasie warszawskiej wizyty, Sekretarz Generalny meldował polskiemu prezydentowi pełną gotowość sojuszu do działania jak tylko otrzyma stosowną rezolucję Rady Bezpieczeństwa.

Utrzymujący się przez wiele dni paraliż decyzyjny, chaos w działaniach militarnych i otwarte kłótnie co do poziomu zaangażowania wojskowego czy odpowiedzialności politycznej to prosta droga do kompromitacji i utraty międzynarodowej wiarygodności sojuszu. Może się okazać, że nie tylko z prymitywnymi talibami przegramy. Europejskich polityków zgubi postrzeganie spraw strategicznych przez pryzmat najbliższych wyborów krajowych. W Europie nie brakuje samolotów, pilotów czy bomb dla takiej operacji. Jednak tak jak w Unii Europejskiej, tak i w NATO, do którego należy ponad 20 państw Unii, brakuje wspólnej polityki, wspólnego postrzegania zagrożeń. Co więcej, drugorzędna pozycja zajęta przez Stany Zjednoczone wobec kryzysu i udziału w operacji NATO dowodzi, że sojusz nie jest wiele wart bez przywódczej roli i konkretnego zaangażowania Waszyngtonu. Taki los operacji libijskiej w wykonaniu europejskiej części NATO powinien kłaść kres wszelkim mrzonkom o możliwości stworzenia odrębnego systemu bezpieczeństwa w Europie. Europa powinna też przededefiniować swoją kulturę strategiczną. Nie można się dalej łudzić, że kryzysy typu libijskiego zostaną rozwiązane przy pomocy europejskiej „soft power”, stosowania jedynie moralny standardów, czy mamienia adwersarzy perspektywą pomocy finansowej lub lukratywnej współpracy gospodarczej w przyszłości.

Oczywiście kryzys arabski to nie sytuacja przewidziana w art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Żadne państwo NATO nie zostało zaatakowane (choć mieszkańcy włoskiej Lampedusy, zalewani przez uchodźców arabskim, mogliby to kwestionować). Jednak od lat sojusz przygotowywał się głównie do takich właśnie kryzysowych sytuacji w upadłych państwach, w sąsiednich regionach. Przygotowania toczyły się pod hasłem rzuconym przez Lorda Robertsona w 2002 roku, iż sojusz będzie uśmierzał kryzysy tam gdzie się rodzą, zanim zapukają do naszych drzwi.

Kryzys libijski ujawnił realne oblicze Sojuszu. Wykazał, że zapowiadane reformy na szczycie lizbońskim nie zaczęły być jeszcze wprowadzane w życie. Szczególnie niebezpieczny jest fakt, iż mimo zobowiązań członkowie NATO nie chcą utrzymać poziomu wydatków budżetowych na realizację zdolności bojowej sojuszu. Utrzymanie tego trendu prowadzi do rozdźwięku między narastającymi ambicjami sojuszu, a rzeczywistymi zdolnościami

materialnymi. NATO dało się zaskoczyć tą operacją i wykazało jawną niechęć do zaangażowania się. Ujawniły się ostre podziały między członkami. Po raz pierwszy Stany Zjednoczone pokazały niechęć do pełnego, wojskowego zaangażowania się (caveats), przyjęcia na siebie kosztów operacji, a tym bardziej przeprowadzenia działań. Większą wolę działania i chęci przywódcze zaprezentowała Francja i Wielka Brytania wobec wyzwań płynących z południa.

Może to oznaczać, że tak jak w przypadku administracji amerykańskiej, również i wiodące państwa europejskie dokonują reorientacji strategicznego postrzegania relacji międzynarodowych z kierunku wschód-zachód na północ-południe. Kontrowersyjna postawa Niemiec: zachowanie unilateralne, sprzyjanie nowym porozumieniom z państwami z poza NATO, nakazuje się zastanowić, czy Berlin będzie jeszcze aktywnie przyczyniał się do wzmacniania bezpieczeństwa w regionie (security provider) czy już tylko będzie konsumentem bezpieczeństwa.

Jeśli zatem tak wygląda realizacja od lat przygotowywanych planów i ćwiczeń, to jak może wyglądać działanie sojuszu w sytuacji realnego zagrożenia suwerenności i terytorium państwa członkowskiego. W przypadku kryzysu za naszą wschodnią granicą, który będzie miał negatywne konsekwencje dla naszego bezpieczeństwa Polska nie może czekać aż sojusznicy dokonają bilansu korzyści i strat pod kątem swojej polityki wewnętrznej. Oczekujemy automatycznego wsparcia. Ambiwalentne zapisy nowej koncepcji strategicznej NATO powinny być przez władze polskie jak najszybciej wyjaśnione. Najlepszą drogą uzyskania wiarygodnej interpretacji zapisów koncepcji strategicznej Sojuszu będzie szybkie wdrożenie planów ewentualnościowych i pilne przećwiczenie ich w manewrach wojskowych na terenie Europy Środkowej.

Kryzys libijski odkrył liczne problemy NATO. Oznacza to potrzebę strategicznej refleksji i finansowego realizmu. Zamiast kolejnych debat i seminariów interpretujących zapisy ostatniego szczytu w Lizbonie i przyjętej tam nowej koncepcji strategicznej potrzeba determinacji w przeznaczaniu materialnych środków na utrzymanie zdolności bojowej wojsk państw członkowskich. Należy też skoncentrować się na realizacji konkretnych zadań jak: inteligentnej strategii wyjścia z Afganistanu w uzgodnionym wspólnie terminie, sojuszniczej tarczy antyrakietowej, planów obronnych dla naszego regionu oraz wspólnego zrealizowania operacji libijskiej z wykorzystaniem doświadczeń afgańskich.

Kwestia sanacji sojuszu i relacji transatlantyckich powinna być prominentnym punktem porządku obrad szczytu państw środkowo-europejskich z Barakiem Obamą w końcu maja br. w Warszawie.